



Pieskie życie miejskiego oprawcy

2020-02-12

Trwa kampania w obronie zwierząt domowych, a zwłaszcza psów. Na autobusowych przystankach widzimy plakaty z biednym, zagłodzonym psem, któremu sterczą żebra, a to dlatego że ma złego pana. Można też zobaczyć inny plakat, na którym przedstawiony jest biedny, płaczący pies, którego łyż zmieniają się w łańcuch. Dzisiaj rośnie liczba aktywistów, którzy domagają się poszanowania praw zwierząt. Kiedyś podchodzono do tych spraw inaczej.

Michał Kozioł

Jak od dawna wiadomo, Kraków zawsze miał skłonność do oryginalnych zachowań oraz decyzji. Dlatego też „sługa miejski” wyłapujący wałęsające się psy nazywany był tutaj w urzędowych dokumentach nie „hyclem”, nie „rakarzem”, ale „oprawcą”. Rozporządzenie krakowskiego Magistratu ze stycznia 1880 roku – a więc wydane przed 140 laty – regulowało nie tylko obowiązki samego oprawcy, ale także całość spraw związanych z funkcjonowaniem jego siedziby, czyli „oprawiska”.

W myśl wspomnianego wyżej rozporządzenia oprawca miał „w obrębie miasta Krakowa z przedmieściami łapać psy wałęsające się nieopatrzone w znaczki opłaty podatkowej, lub w znaczki uwolnienia od opłaty – i psy choćby w znaczki opatrzone, lecz oznaki wścieklizny okazujące”. Łapanie mogło się odbywać „na placach publicznych lub też na środku ulicy”. Nie wolno było łapać „na plantacyach, chodnikach, trotuarach, lub w sieniach albo podwórkach domu”.

Problemy natury psiej

Zabronienie oprawcy wstępu na „plantacje”, czyli – według współczesnej terminologii – na Planty, rodziło pewne problemy. Magistrat miał świadomość, że psy prowadzą na Plantach działalność zdecydowanie destrukcyjną. Polegała ona na tym, że „uganiają się i wydrapują doły” na świeżo obsianych trawnikach. Niestety, często działo się to za zgodą właścicieli, którzy nawet pobudzali swoich pupilów do takich harców. Magistratowi nie pozostawało więc nic innego, niż wezwać posiadaczy psów, „aby je prowadzili na sznurkach przez plantacje”. Wydano też stosowne polecenia „stróżom plantacyjnym”. Trzeba jednak pamiętać, że obecność psów na Plantach miała pewien delikatny aspekt. Otóż w wojsku austriackim panowała moda na posiadanie psa. W związku z tym rozważano, czy magistrat nie powinien „znieść się w tej mierze z władzą wojskową, aby ta poleciła oficerom stosowanie się do przepisu”, nakazującego prowadzenia psa na sznurku.

Instrukcja co do łapania psów jasno mówiła, że „łapanie musi oprawca z oszczędzeniem ile można zwierzęcia skuteczniać; względem publiczności ma się oprawca zawsze grzecznie i uprzejmie zachowywać”. Nie były to czcze słowa. Za nieprzystojne zachowanie oraz „dręczenie złapanego psa bezpotrzebne” groziła oprawcy kara, czyli potępienie z płacy nawet dziesięciu złotych reńskich lub pobyt w miejskim areszcie „od 6 godzin do dni dwóch”.



Mniej przyjemne obowiązki

Psy, które samemu oprawcy lub któremuś z jego pomocników udało się złapać, trafiały, jak już wiemy, do wózka „z odpowiednią ilością przegródek”. Po przywiezieniu do oprawiska były przetrzymywane tam przez trzy dni. W tym czasie ich właściciele musieli postarać się o stosowne pisemne zezwolenie magistratu, udać się do oprawiska, które funkcjonowało na Grzegórkach, okazać magistracki dokument oprawcy oraz opłacić kwotę jednego reńskiego. Jeżeli tego nie dopełnili, pies po trzech dniach kończył żywot.

Ze zrozumiałych względów nie wolno było oprawcy leczyć zwierząt, handlować mięsem, łojem oraz sadłem, a także hodować w oprawisku trzody chlewnej. Z żalem trzeba przyznać, że zakazy te – zwłaszcza jeżeli chodzi o handel psim smalcem – były notorycznie łamane. Działo się tak z powodu powszechnie panującej wiary we wręcz cudowne właściwości psiego smalcu. Był on, jak wierzano, skuteczny nawet w przypadku chorób płucnych, a zwłaszcza gruźlicy zbierającej ogromne żniwo wśród mieszkańców Krakowa. Trzeba też przyznać, że nawet w XX w. na przedmieściach spotykało się „koneserów” psiego mięsa, a jeden został nawet zaliczony do pocztu legendarnych postaci Półwsia i Zwierzyńca.

Ciężkie życie oprawcy

Oprawca, który wykonywał ciężką i odpowiedzialną pracę – pamiętajmy jak straszną, groźną dla ludzi, nieuleczalną chorobą była kiedyś wścieklizna – nie cieszył się jednak sympatią społeczeństwa. Marzeniem każdego krakowskiego ulicznika było otworzyć drzwiczki wozu oprawcy i wypuścić na wolność zamknięte w nim psy.

Trzeba też przyznać, że podwawelska prasa notorycznie krytykowała oprawcę i jego pomocników. W starych gazetach możemy przeczytać, że: „Chwyatanie psów staje się formalnem widowiskiem lubo wstrętnem, bo odbywa się na wielkiej przestrzeni, jakby obławy w puszczy. Na raz kilku ludzi ugania się na wszystkie strony za uciekającymi psami, gdy środkiem ulicy toczy się wózek i dzieje się to dopóty, póki w wozie jest jeszcze nieco miejsca dla biednych zwierząt. Wśród tego widzowie zabiegają psom drogę, żeby je uchronić od niebezpieczeństwa, a oprawca w zapale łowieckim często wpada na chodnik i spod nóg przechodniów chwyta psa albo rzuca stryczek między nich”.

Wściekła wścieklizna

Pojawienie się w mieście wścieklizny zdecydowanie intensyfikowało pracę oprawcy i jego drużyny. Obligowały ich do tego stosowne magistrackie zarządzenia. Warto zacytować jedno z nich: „Przed dwoma dniami, pojawiła się między psami na przedmieściu Kleparz w ulicy Pędzichów wścieklizna. Lubo ze strony Magistratu zarządzone zostały natychmiast wszelkie środki ostrożności, przecież dla zapobieżenia dalszemu szerzeniu się tej, i dla ludzi niebezpiecznej choroby, Magistrat widzi się spowodowanym, wezwać wszystkich właścicieli psów, ażeby takowe w domu trzymali, i niedozwalali wałęsać się po ulicach, gdyż oprawca miejski otrzymał polecenie łapania i bezzwłocznego zabijania tychże psów”.

Wścieklizna nie odeszła w przeszłość wraz z wiekiem XIX. Jeszcze w marcu 1911 r. „IKC” donosił: „Z



powodu szerzącej się w mieście i okolicy wścieklizny psów w dzień i w nocy objeżdżają miasto dwie »karetki« oprawcy miejskiego. Psy wałęsające się bez kagańca chwyta oprawca i zabija w przeciągu 24 godzin, a właściciele ich zostają pociągnięci do odpowiedzialności”.

Praca w oprawisku była niewątpliwie bardzo stresująca. Fakt ten tłumaczy nie zawsze sympatyczne zachowanie ludzi tam zatrudnionych. Znajdowało ono odbicie w krakowskiej prasie. Przykładem może być choćby takie oto doniesienie z listopada 1911 roku: „W szynku Klugera na Stradomiu przyszło onegdaj do krwawej awantury, wywołanej przez pomocników oprawcy miejskiego, Jakóba Bilińskiego i Jakóba Karnię, którzy w bestyalski sposób poranili nożem wyrobnika Józefa Ścibora. Oprawców aresztowała policja”.